

# Kronika tygodniowa.

W dniu, kiedy dzisiejszy numer „Nowości“ dojdzie do rąk Czytelników, będziemy już mieli posłów z 18 okręgów wiejskich i będziemy oddawali głosy w reszcie tych okręgów i w kilku miastach a między nimi we Lwowie i w Krakowie. Przypuszczam, że Czytelnicy lwowscy i krakowscy nie zechcą w tym dniu nawet rzucić okiem na moją kronikę, bo ich serca i myśli będą krążyć około Głabińskich, Buzków, Małachowskich, Hudeców, Petelenzów, Daszyńskich, Staniszewskich, Marków i całej reszty kandydatów.

Czując, że w chwili, w której się „robi“ ów raj oczekiwany, jaki ma nam przynieść równe, powszechne, tajne i bezpośrednie głosowanie, nikomu z obywateli lamowskiej Galicyi i Głodomeryi nie zależy na moich politycznych przekonaniach. Korzystam z tego szczęśliwego momentu, aby w mojej kronice przejść nad polityką do porządku dziennego.

Małeńki wyjątek zmuszony jestem uczynić, jedynie dla następcy tronu hiszpańskiego, który po dwudziestu miesiącach „niecierpliwego oczekiwania“ ukazał się nareszcie na widowni tego świata. Nie czynię to dlatego, że Hiszpania ma swoją Galicyę, ale ze względu, iż w kilku naszych pismach wyczytałem, że fakt tych urodzin jest niesłychanie ważnym wypadkiem politycznym. Dlaczego? — nie wiem. Nie umiano tego jakoś bliżej wytłomaczyć, a może rzecz jest tak prosta, że nie wymaga wytłomaczenia. Przypuszczam, że domysłność moja zawodzi mnie zupełnie — i byłbym wdzięczny, gdyby który z Czytelników, lub która z Czytelniczek raczyła mnie z ciemnicy nieświadomości wyprowadzić na jasność świadomości. Prosiłbym przy tem dodatkowo, aby mnie objaśniono, za co monarcha hiszpański zaraz po szczęśliwym rozwiązaniu nadobnej swej małżonki, rozdał „nagrody“ grandom i dowódcy straży pałacowej.

Miałbym zresztą i ja uzasadnioną pretensję do nagrody, bo przypominając sobie może Czytelnicy, że już przed paru miesiącami przepowiadałem ten radosny wypadek. Tylko wówczas była mowa o tem, że królowa Ena wyda na świat bliźnięta; co miało wywołać daleko idące dynastyczne komplikacje. Wskutek tego projektowałem, aby zakazać królowym tej hojności — czuję się więc szczęśliwym, że propozycja moja została przyjęta.

Te pogłoski o bliźniętach stwierdzają raz jeszcze, jak nie należy dowierzać dziennikarzom politycznym. Nawet z felietonistami radzę być ostrożnie. Oto co na przykład pobajdurzył pan Jan Lorentowicz, „skądinąd“ (jak się to u nas pisze) bardzo sympatyczny krytyk literacki i teatralny.

Pan Lorentowicz zawitał z Warszawy na jeden dzień do naszego miasta, a raczej nie do naszego miasta, lecz na przedstawienie jubileuszowe „Ślubów Panieńskich“ w naszym teatrze. Przedstawienie to rozślawiły pióra dziennikarskie po wszech ładach i wszech wodach. Dyrekcja pożyczyla od jednego z miłośników „starych gratów“ garnitur mebli typowych, takich jakie ozdabiały przed laty 70—80 nasze dworki szlacheckie; dopasowano do nich resztę dekoracji i stworzono bardzo miłą komnatkę, na tle której rozgrywała się historia prawdziwa o pannach, „które za mąż iść nie chciały“. Tą staranność (a nie „zasługi“) dyrekcji pochwalić należy tak, jak my to czynimy, w pięciu wierszach (niech wreszcie będzie w piętnastu!). Ale że u nas nic bez przesady, więc na część dekoracyjnego smaku dyrekcji a względnie artystycznego jej doradcy, spalono kilka wagonów kadzideł, a samo przedstawienie „Ślubów“ zaliczono do epokowych. W danej chwili, według pewnych krytyków i korespondentów, faktów równej doniosłości mało było na kuli ziemskiej. Pan Lorentowicz też synął garść pochwał, ale jako krytyk spokojny i nie unoszący się nad byle czem, wylał i kilka kubków zimnej wody. Opinię jego można streścić krótko: wystawa była ładna, bardzo ładna, ale gra, choć poprawna, miejscami całkiem dobra, daleką była doskonałości; zdawały się lepsza.

Do tej chwili jesteśmy z p. L. w zgodzie. Ale niestety felietony swoje o „Ślubach“ poprzedził on uwagami nad stosunkiem dzierżawcy teatru do gminy krakowskiej. Na podstawie dostarczonego mu kontraktu dzierżawnego usiłuje on przekonać wszech wobec i każdego z osobna, że dyrektor, czyli dzierżawca naszego teatru, jestto osoba godna litości (nie myślimy tu o p. Solskim, ale wogóle o dzierżawcy teatru krakowskiego), jest to mąż wysokiego poświęcenia, skrupowany do ostatnich granic przez komisję artystyczną, a matery-

alnie wyzyskany przez gminę. Ma on np. obowiązkiem przedkładać repertuar, a komisja może mu go odrzucić — co więc pocznie, kiedy się już przygotował, kiedy musi wszystko rozpoczynać na nowo. Albo druga „okropność“: Komisja ma prawo usunąć jaką zechce osobę z personalu, albo narzucić aktora lub aktorkę. To są tortury, to są dzikie wymagania.

Na to odpowiemy: Kraków wybudował teatr kosztem około 2.000.000 koron (licząc i wartość gruntu) a od czasu, kiedy go postawił, dołożył do niego w ciągu lat 13 co najmniej jeszcze 500.000 koron. Zdaje się, że taki „mecenas“ ma prawo, oddając teatr w dzierżawę, zastrzedz sobie wpływ na jego kierunek i na dobór personalu. Tę zasadę stwierdzają warunki kontraktu, zabezpieczające gminie ingerencję. Ale autorom kontraktu chodziło nie o szyskany, lecz o broń przeciw tym przedsiębiorcom, którzyby usiłowali spaczyć i obniżyć znaczenie i cel sceny krakowskiej. Każdy zresztą kontrakt dzierżawny stara się zasłonić właściciela przed dewastacją majątku — w tym wypadku jest to majątek moralny. Ale takich obostrzających warunków nie bierze się literalnie, jeżeli ich branie nie potrzeba. Czemu to ci, co dostarczyli p. Lorentowiczowi kontraktu, nie raczyli go objaśnić, jak wygląda teoria w praktyce? Czemu mu oni nie powiedzieli, że dzierżawcy wprawdzie przesyłają i przesyłali repertuar komisji, ale ta komisja nigdy (przynajmniej nie słyszeliśmy o wyjątku) przez lat 13 repertuaru tego nie odrzuciła. Czemu nie powiedzieli, że w ciągu lat 13 zaszedł zaledwie jeden wypadek, że komisja z powodu publicznego skandalu, (a raczej szeregu skandalów) poleciła usunąć pewną osobę płci niebrzydkiej. O narzuceniu dyrekcyi aktora lub aktorki nigdy nie słyszeliśmy i to nawet w czasach, kiedy personal z małym wyjątkiem godny był teatru prowincjonalnego... Zresztą sam ten „warunek“ widocznie świeżo został wstawiony, bo w kontrakcie, obowiązującym pp. Pawlikowskiego i Kotarbińskiego (a więc przez lat 12), całkiem go nie było. Tak wygląda w rzeczywistości ów terror komisji nad nieszczyśliwym dzierżawcą teatru krakowskiego!...

Nie mamy miejsca na polemikę o straszne warunki materyalne, w jakich gmina postawiła dzierżawcę. Wspomnimy tylko o jednym.

Miasto kupiło od poprzedniego dzierżawcy garderobę, a więc obecnego dzierżawcę ochroniło od wielkiego na początek wydatku — bierze od niego tylko niską opłatę za używanie tej garderoby, niska, bo odpowiadająca ściśle zmniejszeniu się wartości tego ruchomego kapitału. Owóż tę niesłychaną ulgę p. Lorentowicz uważa za ciężar!

Ba! jego dziwi, że gmina żąda od dzierżawcy, aby światło elektryczne do gmachu miejskiego, jakim jest teatr, brał z miejskiej elektrowni. Ale mniejsza o to. Dość, że pomijając wszelkie inne tortury materyalne, jakim podlega godzien litości dzierżawca, kończymy swą odpowiedź p. Lorentowiczowi serdeczną radą, aby wziął w dzierżawę na jakie 10 lat teatr krakowski. a jeżeli będzie na nim corocznie tyle tracił, co obecny dzierżawca, to niżej niepodpisany zastrzega sobie za dobrą radę (po tych 10 latach) bezpłatne 4-pokoikowe mieszkanie w jednej z trzypiętrowych kamienic p. Lorentowicza, wybudowanych za poniesione straty na teatrze krakowskim.

A teraz zajrzyjmy w inne okolice. Na początek do Chin, gdzie biorą się na seryo do zaprowadzenia przymusu szkolnego. Nie trzeba dowodzić, że to jest rzecz ładna i pożyteczna. Chcę tylko podnieść praktyczność Chińczyków. Otóż postanowiono, że tym, co własnym kosztem założą szkołę na 500 dzieci, udzielone zostaną tytuły szlacheckie i honorowe. Brawo! myśl wspaniała. Polecam ją naszym świeżo upieczonym i upiec się mającym posłom. Niech Rada państwa uchwali coś podobnego, a ręczę, że ustana wkrótce narzekania na zbyt powolny wzrost naszej oświaty.

W samej Galicyi przybyłoby z 500 rodzin hrabiowskich, a wszak dobrego nigdy nie zawiele. Ci, co nimi dotychczas zostawali (pomijam rody historyczne) zawdzięczali swe tytuły majątkowi, protekcji, koligacji lub zasługom bezimiennym. Niechby raz prawdziwa zasługa dawała prawo do tytułu. Wprawdzie takich „szkolnych hrabiów“ lekceważyliby z początku dzisiejsi hrabiowie, ale z czasemby się różnica zatarła. Kto wie nawet, czy za czasów mądrzejszych (a jest nadzieja, że takie nadejdą), nie uważano by takiego szkolnego początku rodu za więcej zaszczytny. Tylko pod innym względem nie radzę naśladować Chińczyków. Mają oni ten dziwny zwyczaj, że odbierają tytuły honorowe rodzinom, które od paru ostatnich pokoleń

niczem się nie zasłużyły. Nie ten jest u nich arystokrata, którego przodek w XIV lub XV wieku był mężem znakomitym, lecz ten, który sam jest człowiekiem zasłużonym, lub miał ojca a co najmniej dziada zasłużonego. Gdybyśmy tę zasadę przyjęli, byłaby straszna redukcja u nas hrabiów, książąt i baronów. A tego sobie nawet my, chudopacholankowie życzyć nie powinniśmy, boć przecie to miło znać się z księciem, mówić z hrabią, przejść się po rynku z baronem. A im więcej arystokracji, tem większa nadzieja, że który z naszych synów ożeni się z gołą hrabianką, lub która z córek naszych wyjdzie za gołego barona. Ot i od razu może zostać nadezwłowiekiem.

O mnogości naszych hrabiów nie wiedział Roosevelt, a przecież nas chwalił jako naród, mający przyszłość przed sobą. Pochwałę tę uzyskaliśmy z powodu projektów na pomnik Kościuszki. „Polacy — mówił pan północno-stanowy prezydent — wydali Kościuszkę, Sienkiewicza, mają tyłu zdolnych rzeźbiarzy... Taki naród nie zginie“. Mocno się cieszymy z tej opinii, choć trudno zaprzeczyć, że jest dość naiwna, dowodząca, jak mało znają nas wielcy tego świata. Największy wielbiciel Kościuszki przyzna (a któż do tych wielbicieli się nie zalicza!), że jest tysiące jeszcze innych dowodów, iż żyliśmy, żyjemy i żyć będziemy. Dowody te dawniej nazywały się (jeżeli idzie o osoby) Zygmuntemi, Kopernikami, Czarnieckimi, Kochanowskimi, Chodkiewiczami, Staszicami, Mickiewiczami, Lelewelami, Chopinami, Matejkami i t. d. i t. d. i t. d. (setki nazwisk na myśl przychodzą) — a dziś, aby nazwisk nie ruszać, mamy tych dowodów coraz więcej w pracy zbiorowej na wszystkich polach we wszystkich dzielnicach.

Oto (biorąc rzeczy najświeższe z jednej tylko dziedziny oświaty) zabieramy się do założenia gimnazjum polskiego w Białej, oto rzucamy grosz na Macierz śląską, oto złożyliśmy około 200.000 rubli jako „dar narodowy“ w dniu 3 maja na Macierz szkolną w Królestwie. To trochę więcej znaczy, to o duchu nas ożywiający, o naszej przyszłości, więcej mówi, niż kilka ładnych projektów rzeźbiarskich, które wywołały pochlebną opinię Roosevelta.



## Kącik humorystyczny.

### Przed sądem.

*Sędzia* (do złodziei). Więc jakeśie wy się tam dostali do tego mieszkania?

*I złodziej*. Proszę pana sędziego myśmy nie mieli wcale żadnych zamiarów. Idziemy sobie ulicą i spostrzegamy, że okna otwarte. Nie namyślając się więc długo, wlałem przez okno, aby lokatorów ostrzedz i poprosić by okna zamknęli, bo to teraz bardzo niepewne czasy.

*Sędzia*. A ty drugi co tam robiłeś?

*II. złodziej*. Ja proszę pana radcy stałem pod oknem i perswadowałem memu koledze, aby tego nie robił, bo zamiast wdzięczności, gotowi go jeszcze w razie przemyślenia wiaśód za złodzieja, jak się też i stało!...

### Dokładny.

*Ojciec* (do konkurenta). A więc, jak powiedziałem daję mojej córce teraz 50.000 a po mojej śmierci dostanie drugie tyle.

*Konkurent*. A kiedy się można spodziewać!...

### Ostatnia wola.

Pan B. czując się bardzo chorym, kazał zawezwać notaryusza, by zrobić testament.

— Mojej żonie — rozporządził w pierwszej linii — przeznaczam 1000 zfr. renty.

— A co będzie w takim razie, jeśli będą jeszcze młoda, wyjdzie za mąż powtórnie? — pyta notaryusz.

— W takim razie otrzyma 2.000 zfr. renty.

— Jakto? Dwa razy tyle?

— Tak. Człowiekowi, który z nią się ożeni, należy się jakieś odszkodowanie. Niech wie, że z nim współczuję. Pisz pan 3.000 zfr. rocznie.

